

Liban znowu płonie

25 listopada 2015

Zanim Bejrutu nie zniszczyła wojna domowa, nazywano go „Paryżem Bliskiego Wschodu”. 12 i 13 listopada w oba Paryże uderzyli terroryści z Państwa Islamskiego, ale tylko nad tym prawdziwym Paryżem płakała światowa opinia publiczna. Choć już niedługo może się okazać, że to atak w Bejrucie był zwiastunem prawdziwej katastrofy.

Wieczór 12 listopada. Centrum handlowe w szyickiej dzielnicy Burdż al-Baradżna na południu Bejrutu. Centrum, jak zwykle o tej porze, zatłoczone. Trzej terroryści w pasach szahida mieszają się z tłumem. Pierwszy ustawia się między piekarnią a siedzibą szyickiej organizacji kulturalnej. Detonuje ładunek. Kilka minut później, w tłumie ludzi, którzy pospieszyli na miejsce pierwszego wybuchu, w powietrze wysadza się drugi. Jedynym tego dnia szczęśliwym zbiegiem okoliczności trzeci nie osiąga celu – zabiła go druga eksplozja, pas szahida nie zadziałał. Ale mimo to ginie czterdzieści osób, liczba rannych sięga dwustu. „Bohaterowie zniszczyli heretyków” – triumfalnie ogłosiło Państwo Islamskie, przyznając się w internecie do ataku.

Cel był starannie wybrany. Szyici z południowego Bejrutu zgodnie popierają partyzantów Hezbollahu, uczestniczących w wojnie domowej w Syrii po stronie wojsk rządowych. Nie mają wyboru – gdyby dżihadyści Państwa Islamskiego (albo innej fundamentalistycznej sunnickiej organizacji, eufemistycznie zwanej „umiarkowaną opozycją syryjską”) zdołali na dobre wkroczyć do Libanu, mogliby tylko zostać i dać się zaszlachtować, albo uciekać przez morze, ryzykując życie, do coraz bardziej nieprzyjaznej Europy. Przerazić, złamać opór, skłonić do ucieczki już teraz – to cele dżihadystów. Przy okazji Państwo Islamskie wymierzyło potężny cios prosto w twarz państwu libańskiemu, które po poprzednim ataku terrorystycznym w Burdż al-Baradżna w czerwcu ubiegłego roku

wprowadziło w dzielnicy nadzwyczajne środki ostrożności. To także rewanż za bitwę o Aarsal, miasto położone 12 km od syryjsko-libańskiej granicy, które latem 2014 r. zaatakowali dżihadyści z Dżabhat an-Nusra. Zostali odparci, ponosząc prestiżową klęskę.

Z Libańczykami nie wyrażano masowo solidarności na Facebooku. Nie było słów potępienia i wsparcia od światowych przywódców, ani nawet porządnych relacji w większości mediów. Tymczasem rozwój sytuacji w małym, ale strategicznie kraju może mieć – i to wcale nie w dalekiej przyszłości – dramatyczne konsekwencje dla Europy. Miejskowa scena polityczna od 2006 r. podzielona jest między dwie koalicje – Sojusz 8 Marca i Sojusz 14 Marca. Pierwsza chciałaby, żeby było jak dawniej – w Syrii rządy al-Asada, a w Libanie pokojowe współistnienie grup etnicznych i religijnych. Drugiej marzy się obalenie rządów partii Baas za miedzą i przejęcie tam pełni władzy przez sunnitów, co utorowałoby drogę do zmiany systemu politycznego także w Bejrucie. Obecna libańska konstytucja, napisana jeszcze w 1926 r., przewiduje bowiem dzielenie stanowisk państwowych według klucza religijnego, by zapewnić reprezentację chrześcijan, sunnitów i szyitów. Dowodzony przez sunnitów Sojusz 14 Marca najchętniej pozbyłby się tych ostatnich. Pierwszych tak do końca nie może, bo jedną z partii w koalicji są oficjalnie świeckie, faktycznie jednak związane z chrześcijanami Falangi Libańskie. Partii chrześcijańskich jest jeszcze kilka – te jednak wolą trzymać z szyitami. Przynajmniej na razie. W libańskiej polityce zdarzają się najdziwniejsze zwroty akcji i zmiany sojuszy. Partie polityczne niezupełnie są partiami w europejskim rozumieniu; poszczególnych działaczy w jednej formacji utrzymuje raczej pokrewieństwo, wspólna religia i pochodzenie niż poglądy. Zła sytuacja gospodarcza (kraj nadal odbudowuje się po wojnie domowej z lat 1975-1990, a potem po ataku izraelskim z 2006 r.) nie tworzy dobrego gruntu pod dialog poszczególnych grup, wręcz przeciwnie, napędza ekstremistów. Do tego dochodzi problem wspierania 225 tys. uchodźców z Palestyny, miliona uciekinierów z Syrii i wrogie

sąsiedztwo Izraela.

Chaos? Oczywiście. Przyszły kierunek ekspansji Państwa Islamskiego? Nie można wykluczyć. Już przed atakiem na Arafata miejscowa mniejszość szyicka – w okolicy dominują sunnici – patrzyła na wschód z niepokojem. Jej przywódcy rozumieli, że Państwo Islamskie znalazłoby mnóstwo chętnych wśród miejscowej ludności. Bezsilny gniew na bardzo złą sytuację ekonomiczną (20 proc. bezrobotnych), ubóstwo, brak perspektyw to dobry początek, by z zainteresowaniem wysłuchać propozycji politycznej sunnickich fundamentalistów i pod ich wpływem ze zwykłego człowieka stać się fanatykiem. W Syrii dżihadysty znakomicie rozgrywali lokalne napięcia między wspólnotami religijnymi i etnicznymi. W Iraku, gdzie po 2003 r. szyickie rządy systematycznie zamieniały sunnitów w obywateli drugiej kategorii, poszło im jeszcze łatwiej. Jeśli zdecydują się na poważne uderzenie na kierunku libańskim, wykorzystają te same mechanizmy.

Hezbollah, w tej chwili główna siła powstrzymująca dżihadystów na syryjsko-libańskim pograniczu, broni łatwo nie złoży. Tym bardziej, że ma zagwarantowane jej dostawy z Iranu, państwa, dla którego nie ma gorszego zagrożenia niż rozkwit sunnickiego fundamentalizmu. Tenże fundamentalizm nakręca konkurencyjną potęgą regionalną – Arabia Saudyjska, tym bardziej, że jej za popieranie terrorystów nikt nie będzie karał, nawet nie zagrozi interwencją. A rozkręcenia kolejnej wojny zastępczej tuż nad swoją północną granicą obawia się Izrael, który, jeśli uzna to za stosowne, nie zawaha się powtórzyć historii i uderzyć na Liban po raz trzeci. Jak w 1975 r. i w 2006 r.

Może nawet lepiej, że Europejczycy przywódcy nie lali łez nad Libanem. To ich poprzednicy, ustalając po I wojnie światowej nową mapę Bliskiego Wschodu, wymyślili – zamiast jednego państwa, o które Arabowie walczyli – kraje o sztucznych granicach, niespójne wewnętrznie, uzależnione od zagranicznej pomocy także wtedy, gdy formalnie stały się niepodległe. To Francja, sprawując w okresie międzywojennym mandat w Syrii i

Libanie, z rozmysłem nakręcała antagonizmy między grupami religijnymi, byle tylko nie wpadły na pomysł współpracy przeciwko narzuconemu protektoratowi. W ostatnich latach to światowe mocarstwa wspierały syryjską opozycję, nawet gdy ta w większości mówiła już nie o demokracji, tylko o kalifacie i świętej wojnie z niewiernymi. Udawały, że nie rozumieją, jakie skutki będzie mieć zwycięstwo tej „umiarkowanej opozycji” nie tylko dla Syrii, ale także dla sąsiadów. Lepiej więc niech zachodnioeuropejscy politycy nie płaczą nad Bejrutem, ale zastanowią się nad gruntowną zmianą swoich wyobrażeń o Bliskim Wschodzie. O ile potrafią.

Autorstwo: Agatha Rosenberg

Źródło: Strajk.eu